

*Dla mojej Mamy – pierwszej inspiracji
i tej najważniejszej*

SPIS TREŚCI

| | | |
|-------------|--|-----|
| Rozdział 1 | Długi jęzor Barbary | 11 |
| Rozdział 2 | Tylko nie biszkopt! | 23 |
| Rozdział 3 | Te ze złotym zdobieniem?! | 39 |
| Rozdział 4 | Jest jeszcze nadzieja | 49 |
| Rozdział 5 | Królowa Węży | 59 |
| Rozdział 6 | Tańce hulańce i tortowy dramat | 69 |
| Rozdział 7 | Numer zastrzeżony | 79 |
| Rozdział 8 | Paszport? A komu to potrzebne? | 91 |
| Rozdział 9 | Dramat, dramat i jeszcze raz fotograf | 99 |
| Rozdział 10 | Pakowanie. O zgrozo! | 107 |
| Rozdział 11 | A co z Jackiem? | 119 |
| Rozdział 12 | To już jutro | 127 |
| Rozdział 13 | Ariwederczi | 135 |
| Rozdział 14 | A gdzie ten Szopen? | 143 |
| Rozdział 15 | Byznes klasa? | 151 |
| Rozdział 16 | Laundż jak z żurnala | 159 |

| | | |
|-------------|--|-----|
| Rozdział 17 | Głowa nie sługa | 167 |
| Rozdział 18 | Auu!stralia | 177 |
| Rozdział 19 | Pożyjemy, zobaczymy | 187 |
| Rozdział 20 | Znalezione... kradzione | 195 |
| Rozdział 21 | Po prostu jacht | 205 |
| Rozdział 22 | Spa-damy | 213 |
| Rozdział 23 | Niech żyje bal | 221 |
| Rozdział 24 | Aniołki Rogera | 229 |
| Rozdział 25 | Farma krokodyli | 239 |
| Rozdział 26 | Leszek | 245 |
| Rozdział 27 | Uśmiech kuoki i plan doskonały | 253 |
| Rozdział 28 | Penisowy otwieracz | 265 |
| Rozdział 29 | Okiem Barbary | 275 |
| Rozdział 30 | Helikopter nad głową | 279 |
| Rozdział 31 | Wszystko, co dobre, szybko się kończy | 285 |

Kochani moi, pewnie nie uwierzycie. I wcale się nie dziwię – sama bym nie uwierzyła, gdyby mnie tam nie było. Barbara, moja najlepsza przyjaciółka, też by pewnie nie uwierzyła, no ale ona akurat nie musi, bo była razem ze mną i widziała wszystko na własne oczy. Wiecie, Basia to czasami patrzy na świat przez pryzmat tej swojej durnej „Wróżki” – no, tego horoskopowego szaleństwa, które, nie powiem, czasami ratowało nam skórę. Bo ja, proszę was, nigdy w żadne horoskopy ani loterie nie wierzyłam. Bzdury – myślałam sobie – tylko człowieka w maliny wpuszczają. Renatka, też moja przyjaciółka, zawsze mówi: „To tylko po to, żeby ci pieniądze z kieszeni wyciągnąć”. No ale ja tam pieniędzy w kieszeni nie noszę. Co ja, torebki nie mam? Jeszcze czego! Mam – i to nie byle jaką! Taką z wężowej skórki, wegańskiej oczywiście, elegancką, aż mi się czasem w autobusie ludzie przyglądają. Iwona, zdecydowanie nie moja przyjaciółka – a żeby ją zaraza zjadła! – jak ją pierwszy raz zobaczyła, od razu pyta, gdzie i za ile kupiłam. A ja co? Uśmiecham się tylko i ani słowa nie mówię, bo przecież nie będę zdradzała swoich tajemnic. Jeszcze

by mi oczami wywracała, jak to ma w zwyczaju. O nie, po moim trupie! Albo gorzej – taką samą by sobie kupiła i wtedy ja musiałabym zmieniać, bo co jak co, ale nosić tego co ona nie będę. Nawet mój Jacek – syn, czasami marnopienięzny, szczególnie jak wydaje mu się, że pieniądze na drzewie rosną – wie, że Iwony na poważnie się nie bierze. Bo widzicie, jeśli nie znacie Iwonki, to musicie wiedzieć, że...

A zresztą sami zobaczycie!

DŁUGI JEZOR BARBARY

No nie, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! Znowu to samo! Nic tylko chodzę i sprzątam, a co ja jestem – sprzątaczką jakąś czy co? Ile razy powtarzałam temu chłopakowi, żeby nie zostawiał skarpetek na środku pokoju? Matko jedyna, już dobre dwanaście lat temu przestałam liczyć. I pomyśleć, że kiedyś z Jacka takie porządne dziecko było... Śliczne, grzeczne, wszystkie sąsiadki mi zazdrościły, a na spacerze, jak w wózku jeździł, to normalnie wszyscy się za nami oglądali. W sumie ja też niczego sobie wtedy byłam. No ale bez przesady, aż tak bardzo się nie zmieniałam, za to on...

– Przecież mówiłam, że robię pranie i żebyś mi wszystko przyniósł! – wydarłam się na niego, bo jak Bożię kocham, nic mnie tak nie doprowadza do szewskiej pasji jak te jego skarpetki na podłodze. To jakiś gen chyba męski czy co. Renatka mówiła, że jej córka mówiła, no, ta najmłodsza, co to studiuje biologię, że to wszystko przez kwas dekskozy... dezozy... dezo... a zresztą nieważne, no wiecie, DNA. Że niby DNA mężczyzn jest takie wybrakowane i ni cholery skarpetką do

pralki nie trafią. To by wiele wyjaśniało. Dzięki Bogu, jestem kobietą, i to całkiem niczego sobie, jakbyście się jeszcze zastanawiali. Dojrzała jestem, swoje przeżyłam, ale o wiek mnie nie pytajcie, nic wam do tego, a poza tym postawna i szykowna ze mnie babka. Nikt tak jak ja pantofli do kostiumu dobrać nie umie – i wcale nie przesadzam. Toż ja Basi w kółko muszę doradzać, w co ma się ubrać, bo ta, choć jak do serca przyłoż, to jednak na modzie się nie wyznaje.

– Oj, mamó, zapomniałem.

Nie dziwię się, że zapomniał. Też bym o wszystkim zapomniała, gdybym zamiast mózgu miała telefon i w kółko oglądała jakieś YouTube’y. Boże kochany, ta dzisiejsza młodzież!

– To będziesz chodzić boso – powiedziałam twardo. – Bo ja drugiego prania dzisiaj nie wstawiam. Rachunki za prąd coraz większe, a taryfa dopiero w przyszły wtorek. Skaczę jak służąca, i to za darmo!

Czasami myślę sobie, jak by to było urodzić się córką milionera gdzieś w ciepłych krajach z palmami, jachtami, drinkami z parasolką, gdzie pranie mogłabym robić, o której tylko mi się podoba. Bez taryfy. Jeździłabym czerwonym kabrioletem, obowiązkowo ze skórzaną tapicerką w kolorze beżu, a ubrania nosiłabym tylko od najlepszych projektantów. Bo cokolwiek by mówić o moim ulubionym sklepie na rogu, to jednak wszystkie kobiety z osiedla się tam ubierają. Na tylnym siedzeniu leżałaby torba Hermès w kolorze najśodszej włoskiej pomarańczy. Jeździłabym od jednego sklepu do drugiego, z lunchu prosto na wykwinną kolację. Oczywiście miałabym też narzeczonego – bogatego biznesmena z własnym jachtem i odrzutowcem. Latalibyśmy po świecie, nie martwiąc się o nic, i...

– Mamó, kibel się zatkał!

Sami widzicie, że zawsze mogę liczyć na syna. Nikt inny nie sprowadza mnie na ziemię w takim tempie, brutalnie

niszcząc moje marzenia. No chyba że Iwona, ale o niej to szkoda gadać.

– To go odetkaj. Jesteś na tyle duży, aby wiedzieć, jak zając się zapchaną muszlą klozetową.

Dziękuję bardzo, wystarczy mi widok jego skarpetek na środku podłogi, nie muszę jeszcze oglądać jego ekskrementów. Czasami myślę, że gdyby wszystkim przyszłym matkom puszczano kilkuminutowy trailer z wychowania przeciętnego nastolatka, ludzkość już dawno by wymarła. Sprzątanie pokoju Jacka przypomina wykopaliska archeologiczne, tyle że zamiast małych pędzelków do zdejmowania warstw piasku lepiej używać koparki. Ostatnim razem znalazłam u niego swój ulubiony kubek, który zniknął z rok temu. A już myślałam, że ta franca Iwona wyszła z nim z moich imienin, bo po niej to wszystkiego można się spodziewać, ale nie – tkwił cały czas dosłownie na wyciągnięcie ręki, a tyle się go naszukałam. Najpierw się ucieszyłam, a potem zajrzałam do środka i... Matko kochana, to żyło! Od tamtej pory trochę się boję wchodzić do jego pokoju.

– A ty już przestań tak się wgapiać w ten telefon, tylko bierz odkurzacz do ręki, i już. I raz-dwa, żadnego ociągania się, bo jeszcze musisz pościel zmienić, okno umyć, w korytarzu podłogę zamieść i tę paprotkę z szafy mi znieś, bo muszę ją przesadzić!

Jacek spojrzał na mnie zdziwiony, jakbym co najmniej zażyczyła sobie podróży w kosmos.

– Mamo, ale co ty taka dzisiaj narwana na to sprzątanie? – spytał ostrożnie. – Żeby aż paprotkę przesadzać? Nie przesadzasz?

– No bardzo śmieszne! Ja mam nadzieję, że chociaż ty nie zapomniałeś...

I po co ja się łudziłam? Oczywiście, że zapomniał! Nikt tak jak syn rodzony serca ci nie złamie.

– Przecież dzisiaj wyprawiam imieniny! – zawołałam z wyrzutem, a on od razu uszy po sobie, niewinna minka i buzia w ciup. No doprawdy, wykapany tatuś.

– Imieniny? – wymruczał po chwili. – No tak, przecież pamiętam. Ale mówiłaś, że w tym roku nic nie planujesz.

No bo nie planowałam. Po ostatnich imieninach, po których zniknął mój ulubiony kubek, obiecałam sobie, że już nigdy, przenigdy nikogo nie zaproszę. No chyba że Basię. No i teraz miała wpaść na naleweczkę i sernik, ale pinda się wygadała i zaprosiła pół osiedla. A przecież mnie znacie, ja mam reputację i muszę o nią dbać.

Jacek podszedł niepewnie pod szafę, zadarł głowę i zerknął na paprotkę.

– Już daj spokój z tą paprotką! – wybuchłam. – Dopiero co posprzątałam w korytarzu, a jeszcze mi dywanik zafajdasz tą ziemią. Zabieraj się do sprzątniania, bo ja jeszcze muszę iść na zakupy.

Zerknęłam na zegarek. Boże kochany, czy ja aby się z tym wszystkim wyrobię? To nie jest pierwszy raz, kiedy przez długi język i plotkarską naturę Barbary mam więcej roboty. Rok temu w majówkę zorganizowaliśmy grilla u Jadzi na działce. Może i Jadzia ma najniższą emeryturę, ale trzeba przyznać, że rozmach też ma: kiełbasa, kaszanka, skrzydełka, nawet żeberka w miodzie były. Tylko świniaka brakowało, żeby na ruszt położyć. A propos tego świniaka... Przyszła też ona, cała na żółto. No jak to kto? Iwona oczywiście. Nie warto o niej gadać, ale dla was lepiej, żebyście ją zawczasu poznali – przynajmniej będziecie mogli jej unikać. Nieznośna kobieta: wszystko wie lepiej, wszędzie była i wszystko widziała. Na pewno znacie ten typ. Wielka dama, choć tak po prawdzie to tylko wielka. No i właśnie wtedy Basia wrobiła mnie w grillowanie kiełbasek z Iwoną. Ile ja się nasłuchiwałam: a to, że węgiel nie taki, a to, że kiełbasa

za tłusta – a uwierzcie mi, kochani, przy niej to była chudziutka jak wymizerowana szczapa. Koniec końców zostawiłam ją samą z grillowaniem pod pretekstem pomocy Jadzi w przygotowaniu sałatki. Basia oczywiście znalazła sobie coś przyjemniejszego do roboty – zdaje się, że miało na imię Marek. No i teraz też mnie wystawiła: miała być już pół godziny temu, ale jak zwykle się spóźniała. Ja wam mówię, z tą kobietą to tylko na śmierć się umówić, a i tak człowiek będzie mieć pewność, że jeszcze trochę pożyje. Ale każdy jakieś wady ma, nikt nie może być idealny. No, prawie nikt, bo mnie tam do ideału niewiele brakuje. W każdym razie Kocham Basię całym sercem, pomimo że czasami potrafi doprowadzić mnie do szału.

Nagle kieszeń mojej podomki zaczęła wściekle dzwonić. Jacek zawsze powtarza, że bym ściszyła dzwienki w telefonie, ale przecież jak ściszę, to nie będę słyszeć. O, to Barbara. Pewnie już była na dole. Odebrałam, jednocześnie zrzucając z siebie podomkę i sięgając po garsonkę. Jak już wam mówiłam, dbam o wygląd i w byle czym do sklepu nie chodzę.

– Już idę, kochana, dwie minutki! – powiedziałam do Basi, po czym zerknęłam do lustra w przedpokoju. No ładnie, ładnie, uznałam, przyglądając się swojemu odbiciu. I pomyśleć, że tyle lat temu to kupiłam, a wciąż leży na mnie jak ulał. Renatka to nawet specjalnie kupiła sobie takie lustro, jakie mają w przymierzalniach takie poważniejsze sklepy z odzieżą: wyszczuplające. Mówi, że poprawia jej nastrój.

– Jacek, jadę z Barbarą na zakupy. Jak wrócę, to... – urwałam nagle, bo przypomniałam sobie, że muszę jeszcze upiec ciasto. Matko kochana! – Jacek, przynieś mi, proszę, długopis! Natentychmiast! Muszę zapisać, co kupić, a Basia już czeka! No szybciej! Rusz się wreszcie! Ile mogę czekać? LISTA! Jak ja mogłam zapomnieć o liście zakupów?!

Znowu telefon. Boże kochany, sama się spóźniła, a teraz mnie pogania! Jacek wyrzwał ze swojego pokoju zdziwiony, bo przecież zawsze wszystko mam pod kontrolą i nigdy nie zostawiam niczego na ostatni moment, no ale w końcu łaskawie się ruszył po ten długopis, a ja rzuciłam się do kuchni, żeby znaleźć przepis na sernik.

Dryń, dryń! Rany boskie, skaranie z tą kobietą! I już miałam odebrać, ale wtedy mój wzrok padł na kartkę z moim charakterem pisma. Lista zakupów! No właśnie, wcale o niej nie zapomniałam, przecież zawsze wszystko mam pod kontrolą.

– Jacek, gdzie ten długo... – zaczęłam, ale obok kartki zobaczyłam i długopis. Tak to jest, gdy o coś prosisz syna. Pośpiesznie dopisałam, czego jeszcze potrzebuję: 12 jajek, 3 wiaderka sera, 2 kilo cukru. Zaraz, ale czy ja zdążę tyle upiec do wieczora? Boże kochany, przecież jest tak późno!

– Cóż, najwyżej zrobię jedno ciasto. Co ja, cukiernia jestem?! – Spojrzałam z wyrzutem na Jacka, a on szybko wycofał się z kuchni. No, w sumie mądry z niego chłopak, tyle że taki trochę nieogarnięty...

Wysłałam szybko z mieszkania, bo wiedziałam, że Basia już się niecierpliwi. Czekala na mnie pod klatką w swoim różowym Czinkłacento. Że to auto jeszcze jeździ, to naprawdę ósmy cud świata.

– Do którego dzisiaj jedziemy? – zapytała moja najlepsza przyjaciółka, włączając silnik.

– Do hipermarketu, kochana, bo mam sporo do kupienia na wieczór – odpowiedziałam, myśląc o całej masie roboty, która jeszcze była przede mną. – Barbara, a ty co robisz po zakupach? Może byś podjechała do mnie i pomogła mi z przygotowaniami? – zapytałam pełna nadziei, choć w pełni świadoma jej dość wątpliwych zdolności kulinarnych. Gotuje fatalnie, ale nożem w warzywo jakoś trafia, więc by chociaż sałatkę zrobiła.

Basia jednak uśmiechnęła się tylko tajemniczo i powiedziała:

– Oj, kochana, chętnie bym ci pomogła, ale mam coś do załatwienia.

Cóż ona mogła mieć do załatwienia? Przecież zawsze mówimy sobie o wszystkim, a ta nagle wyskakuje mi z jakimiś sekretami. No chyba że specjalny prezent imienninowy sobie dla mnie umyśliła i musi po niego pojechać. Ja to bym najbardziej chciała taki odkurzacz, co to sam sprząta. Siedziałabym sobie na kanapie, kawkę piła, a ten by jeździł po całutkim mieszkaniu i robił za mnie... Ach, pomarzyć czasem można.

W supermarkecie od razu złapałyśmy za wózki i rzuciłyśmy się w wir zakupów, a im dalej szłyśmy, tym w wózkach pojawiała się więcej rzeczy spoza listy. Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto choć raz nie dał się ponieść zakupowemu szaleństwu. Suszarka do sałaty? Na pewno przyda się do czegoś jeszcze, bo akurat za sałatą nie przepadam. Alejka po alejce odhaczałam kolejno pozycje z listy, gdy nagle w jednej sekundzie cała krew napłynęła mi do głowy, nogi zrobiły się jak z waty, a w brzuchu poczułam ścisk. Szeptem, na skraj paniki, udało mi się wykrztusić w stronę Basi:

– Matko kochana, Barbara, tylko nie to! IWONA!

Basia wysunęła do przodu głowę, zmrużyła oczy i zrobiła dziubek – wypisz wymaluj wypróżniający się kot.

– Gdzie? – spytała, obracając się w kółko.

– No jak to gdzie?! Przy bananach! Małpa jedna – wyduśiłam, starając się nie poddać narastającemu uczuciu paniki.

Oczy się Basi szeroko otworzyły, a na twarzy pojawił się wyraz przerażenia. No, mówiłam wam: Iwona tak działa na wszystkich. Ostatnie, czego byście chcieli, to spotkać ją na zakupach.

Spojrzałam szybko na pełny wózek. Żal go tak porzucać pośrodku alejki i ukradkiem zmyć się ze sklepu, chociaż,

nie powiem, myśl o ucieczce była bardzo kusząca. Postanowiłam więc zastosować inny manewr. Po cichutku zawróciłam i już, już miałam zniknąć za regałem z dżemami, gdy...

– O, na co tu polujecie? – usłyszałam za sobą piskliwy głos tej harpii.

Odwrociłam się z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem.

– Cześć, Iwona! Co za niespodzianka. I pomyśleć, że prawie cię nie zauważyłam...

– Co tam słyszać? – Rzuciła okiem na mój wózek. – Co, robisz zapasy na kilka miesięcy? – zadrwiła i wtedy wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Pomyślałam, że zaraz Baśka wypali, że to wszystko zakupy na dzisiejsze imieniny, a ta pinda od razu się wprosi, posłałam Baśce ostrzegawcze spojrzenie, ale tak, żeby ta pinda go nie dostrzegła, a Baśka, zamiast spojrzeć na mnie, popatrzyła na pindę i oczywiście wypaliła:

– Imieniny!

Matko kochana, czasami już wolałabym aż tak bardzo nie znać swojej najlepszej przyjaciółki, bo wtedy przynajmniej byłabym tylko wściekła, że się wygadała, a tak nie dość, że byłam wściekła na nią, to jeszcze na siebie, że w porę nie zareagowałam. No bo mogłabym rzucić Iwonie coś w stylu: tak, zapasy, bo w telewizji dopiero co mówili, że znowu pandemia idzie i zaraz papier toaletowy w sklepach się skończy. Ostatnim razem, jak była pandemia, Iwonka tylko się z nas śmiała, jak wracałyśmy obładowane z zakupów, a potem sama chodziła po znajomych na żebry, bo papieru już nigdzie nie było.

– Imieniny? Och, co za niespodzianka! – zawołała podekscytowana, a ja znów spojrzałam na Basię. Gdyby wzrok mógł zabijać, leżałaby już martwa na podłodze. I to w strzępach.

– Wiesz, takie skromne przyjęcie w gronie najbliższych... – zapewniłam szybko, żeby przypadkiem ta pinda mi się nie wprosiła.

– Ja swoje wyprawiałam w lokalu, i to z cateringiem. Zawsze powtarzam, że na takich okazjach nie ma co oszczędzać – odparła, spoglądając pogardliwie na mnie i mój wózek.

No niedoczekanie twoje, żebym ja cię zaprosiła – pomyślałam. Za żadne skarby świata! Żebyś mi znowu z moim ulubionym kubkiem z domu wyszła? A nie, zaraz, kubek się znalazł, ale co ja przez nią przesłam, szukając go po całym domu, to moje. Dlatego nic z tego! Choćby skały srały, w życiu cię nie zapro...

– To na którą te imieninki? – zapytała jadownicie Iwonka.

– Na dziewiętnastą – odpowiedziałam szybko, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Mówię wam, tak właśnie kończą ludzie o dobrym sercu: z pindą na imieninach

– No to do zobaczenia później! Au revoir – zaświergotała ta...

Nie, nie będę się wyrażać. Tak sobie ostatnio postanowiłam w ramach duchowej metamorfozy. Przecież człowiek nie może być damą tylko z wyglądu, prawda? Właśnie! Nie to co ta artystka ze spalonego teatru. A, i nie dajcie się nabrać, Iwonka wcale nie zna francuskiego. Raz, jak u niej byłam, widziałam na stoliku nocnym słownik wyrazów obcych. Zerknęłam do środka, bo myślałam, że jakieś romanse przed snem czyta, ale nie, ona ołówkiem słówka zaznaczała razem z wymową. Cośmy się potem z Basią pośmiały, to nasze.

Kiedy Iwona odjechała ze swoim wózkiem, zrozumiałam, że ta bitwa jest przegrana i będę musiała znosić jej towarzystwo przez cały wieczór. Podziękowałam Barbarze za cudowne umiejętności dotrzymywania tajemnicy i ruszyłam w stronę kas, zastanawiając się, co na imieninach może pójść nie tak. Wszystko! W końcu Iwona zdolna była do

wszystkiego. Może jeszcze mogłam je odwołać? A gdybym tak powiedziała Barbarze, że Jacek zatkał kibel i...

– Reklamówkę?! – usłyszałam tuż obok i prawie podskoczyłam z nerwów. Kasjerka wpatrywała się we mnie wyglodniałym wzrokiem, jakby za każdą dodatkową złotówkę, którą by ode mnie wysepiła, dostawała ze trzy premie.

– Nie, dziękujemy. Torby mamy swoje – odburknęłam głosem Greta Thunberg jednym gestem ratującej tuzin żółwi.

– A kartę na punkty?! – ciągnęła kasjerka, wciąż się wydzierając. Rozejrzałam się z popłochem w oczach i tak, oczywiście, że tak: WSZYSCY się na mnie gapili. – Może los na loterii?! Można wygrać wycieczkę do Australii!

Matko kochana, co ona głucha, że tak się drze? A ja co? Że niby wypróżniam się banknotami? Nie dość, że zostawiam jej połowę swoich pieniędzy miesiąc w miesiąc, to jeszcze mam komuś fundować wycieczkę do Australii? Po moim trupie! Przecież wszyscy dobrze wiemy, jak działają takie loterie. Nawni klienci za ostatnie grosze kupują losy, a później w tajemniczych okolicznościach główną nagrodę zgarnia córka kierownika. Nie ze mną te numery!

– Tylko złotówka! – darła się dalej kasjerka. – Cały koszt przeznaczamy na fundację wspierającą chore dzieci!

I co, miałam teraz powiedzieć, że nie? A co inni by wtedy o mnie pomyśleli? Przecież słyszeli doskonale tę kasjerkę, nie dało jej się nie słyszeć. I oczywiście wyszłoby, że to ze mnie jest jakaś stara kutwa, skoro biednym dzieciom nieba nie chcę przychylić. No, w sumie to tylko złotówka – pomyślałam w końcu.

– Proszę doliczyć ten los! – huknęłam głośniejszym głosem niż kasjerka, a potem musiałam jeszcze wpisać swoje dane do formularza.

Pakując zakupy, myślałam, że może jednak wygram i nawet uda mi się wylecieć do tej Australii jeszcze przed

dziewiętnastą. Przynajmniej problem z Iwoną by się rozwiązał. Ale by jej w pięty poszło, że ja lecę do Australii, a ona nie. Iwona najdalej na wakacjach była w Turcji rok temu. Trudno było przeoczyć ten fakt, bo cały fejsbuk wytapetowała zdjęciami z wyjazdu. Baseny, drinki, zachody słońca i ona w stroju kąpielowym – brr, aż mnie ciarki ciągle przechodzą, gdy sobie to przypominę. Oczywiście ja nic jej nie serduszkowałam. Jeszcze tego brakowało, żebym brała udział w tej nieudolnej próbie afiszowania się byle czym. Nie wiem, co ta kobieta ma w głowie. Pewnie powietrze, bo rozumu to tam nie uświadczysz.